

Urszula Benseler

wyróżnienie w konkursie literackim „Racibórz prozą zaczarowany”

Moje “raciborskie migawki”

...a Racibórz Piasta gród!”

Każda nasza harcerska wycieczka czy wyprawa obozowa zaczynała się piosenką

“ My , harcerze Raciborza,
a Racibórz Piasta gród !
Ziemia nasza stąd do morza,
kto zaprzeczy - ten nasz wróg!!
My tu dzieci śląskiej ziemi,
a Śląsk zawsze polski kraj!!
Tu jesteśmy między swymi -
graj nam trąbko w marszu , graj!!!”

I byliśmy tacy dumni, głowa w górę, pierś do przodu, krok sprężysty - ba! głośno śpiewaliśmy, by ci inni harcerze z zaprzyjaźnionych Hufców dokładnie słyszeli, kto nadchodzi! Zresztą oni też mieli przygotowane swoje hufcowe hymny, żeby nas i innych śpiewem zagłuszyć, przekrzyczeć....

Dużo jeszcze piosenek z tamtych czasów pamiętam (47 lat mija, jak zostałam najpierw zuchem, potem harcerzem - i pięłam się dalej, aż do instruktora !..), aż łezka się w oku kręci na wspomnienie tamtych lat, wyraźnie czuć zapach ogniska...Czy i dzisiaj też byśmy tak głośno śpiewali, że Śląsk zawsze polski kraj? Nie wiem... Śląsk chce dziś być przecież tylko śląski.. Jakże skomplikowana sprawa, taka wewnętrzna polityka regionu...A byliśmy wcześniej “opolscy śląscy“!!! I parę dni nawet 50-tym województwem, nie zatwierdzonym i nie ogłoszonym oficjalnie, podczas słynnego podziału Polski w “Toto-Lotka” - z 17 na 49 województw! (za Gierka) - wzięto pod uwagę nasze położenie, lasy, daleko rozwinięte rolnictwo...(a zawdzięczamy to m.in. Łęczczokowi, że postanowiono wciągnąć nas do katowickiego województwa i tak zostaliśmy “zielonym zapleczem”, albo inaczej “zielonymi płucami” tak bardzo zadymionego kopalniami Śląska ! ..)

Chętnie wracam z mojej "tułaczki" do Raciborza, co to dla mnie "Piasta grodem" i już jak tu wjeżdżam od strony Opoła, z górki ostatniej - wzruszenie ściska mocno w gardle, a radość błoga skrzydełkami łopocze!!! I dawaj - funduję sobie małą rundkę, po znajomych kątach i zaułkach, to romantycznych, to surowych, to przepełnionych historią dziejów starego grodu, radośnie odkrywając małe zmiany albo wielkie remonty, dodające miastu uroku... Najpierw uśmiecham się do swych wspomnień kiedy mijam "Strzechę" (stare kino ze sceną), na jej deskach i śpiewałam w chórze szkolnym, i tańczyłam nasze regionalne "przytupanki" w folklorystycznych strojach i tam też chodziło się na "Fajfy", młodzieżowe potańcówki, a pod kopułą tamtejszego Amfiteatru odbywały się koncerty, występy przeróżne, działalność kulturalna w mieście była dosyć prężna i wielokierunkowa, bogato urozmaicona (byłam tam m.in. na koncercie Niemena). Po przeciwnej stronie przy ulicy Londzina straszyla lata całe ruina Zajazdu Biskupiego, ciekawego bardzo architektonicznie, ale mającego niezwyklego pecha, co do uzyskania skądś funduszy na jego odbudowę.. Kątem oka w tym roku zauważyłam, że coś tam drgnęło, stoją rusztowania - a to już dobrze !

Potem jadę Odrostradą w dół, Odrze się pokłonić nisko i ogromnym kasztanom, co ją tak od lat szpalerami zdobią wzdłuż brzegu i szumią nam o starych dziejach, wreszcie rondo po drodze.. - hej! I tutaj stałam w mundurku harcerskim na odsłonięciu Pomnika Matki Polki... Zeszła się wtedy cała masa ludzi, ciekawych bardzo projektu bryły, monumentu tak ważnego dla historii miasta.. Nie ma już starego, betonowego mostu, który miał Herb miasta na wjazdowych filarach - a ówczesni "bohaterzy - małolaty" robili zakłady po paru piwach na odwagę, kto przejdzie po jego betonowych, dosyć szerokich balustradach na drugą stronę - czyli na Ostróg. A tam, gdzie dziś stoi Mc Donald's (no, trochę obok) - stała pocziwa "10-ka", specjalna szkoła podstawowa

Potem jadę Drzymały dalej... - nie czuć już nic a nic "Ślązakiem", co mnie witał co rano słodkavo-czekoladowym powiewem, mdłą wonią pralinek - mieszkałam na Mickiewicza - z oknami w stronę fabryki, a jej syreny były praktycznie naszym budzikiem. Byliśmy kiedyś z klasą, jak i inne raciborskie szkoły zwiedzać całą produkcję, a w każdej hali dawano nam spróbować czekoladowych pyszności, masy i karmelkowych past - bolały nas potem brzuchy... Teraz "Mieszko" od lat i w innym końcu miasta rozpieszcza nas swoimi znakomitymi wyrobami czekoladowymi, i nie tylko - a brzuchy z przejedzenia tam produkowanymi słodkościami bolą nas dziś tak samo !!!

Jak spozrzałam dalej w prawo z naszego okna na 3-cim piętrze - widziałam piękne, szerokie schody starego dworca, właściwie resztki po ogromnym, imponującym gmachu, jaki widziałam na takiej retro widokówce. Wracający z delegacji tato - mógł już ze szczytu tych schodów pomachać mi ręką - i widział dobrze mnie w oknie, a ja od razu dostrzegałam jego kapelusz między innymi przyjezdnymi. Patrzyłam w lewo - Kościół Farny - aż do Rynku, prawie do wejścia do "Bolka".

Nie każdy miał wtedy TAKIE okna, oj nie każdy... Okna szczególnego wówczas przeznaczenia...

Bo nasze okna były oblegane na każdego 1-go Maja. I to wszystkie 3! Naprzeciw okien, tam, gdzie dziś stoi "Galeria Młyńska" - stała co roku Trybuna główna, a na niej bardzo dużo dostojnych, partyjnych notabli miejskich - cała "góra" Powiatu i to dla nich odbywały się podczas pochodu najciekawsze występy! Sportowcy robili pokazy ćwiczeń, śpiewano, machano flagami, portretami ważnych, zasłużonych polityków, krzyczano hasła, pilnie ćwiczone w zakładach pracy już miesiąc przed pochodem - dzieci szkolne machały bibułkowymi kwiatkami i takimi małymi chorągiewkami - każdy, jak umiał - pozdrowiał "górze", stojącą parę godzin sztywno, ale wyuśmiechaną, machając wyćwiczonym "gestem Breżniewa" - dwie dłonie, złożone razem i raz na wysokości lewego ucha dwa machnięcia, raz na wysokości prawego ucha - też dwa machnięcia... Ojejku! A dla mnie to była dopiero stresująca zabawa - byłam i harcerzem, i sportowcem - musiałam przelecieć przed Trybuną dwa razy! najmniej... - a jak zdążyłam - to jeszcze raz z moją klasą! Zbiórka ostateczna dla nas była na Rynku - i dawaj w szeregi! Najpierw w dresie Klubu Sportowego "Unia"- byłam w sekcji pływackiej - przechodziłam przed Trybuną, a potem odłączałam "po cichu", skręcałam w Zborową - i koło starej Winiarni, a potem koło Pralni, Młyńską w dół biegusiem gnałam do domu, pełnego znajomych i nieznajomych ludzi, rozpartych w naszych oknach, przyjaciół moich rodziców (a może trzeba było wtedy postawić skarbonkę na parapecie za "miejsca w łóży"?), ciekawych co roku tak samo tego widowiska, przebierałam się błyskawicznie w mundurek - i przez Plac Długosza, Nową dobiegałam akurat do ustawiającej się formacji rozśpiewanych harcerzy! Maszerowałam drugi raz przed Trybuną...- machając towarzyskom... I znowu znikalam z szeregów na rogu Zborowej, by skrótem dobiec wreszcie i do mojej klasy... W tym miejscu, gdzie stała majowa Trybuna - była też nasza "zimowa" górka. Do zjazdu saneczkami - postawiono tam teraz pawilon handlowy - i tak zmienia się szybko i przeraźliwie mój Racibórz!

Jeszcze jedna "górką" była dla nas, dla mojej generacji!- prawdziwym, karkołomnym (dosłownie i w przenośni!!) wyzwaniem !!!! Tor saneczkowo - narciarski w Oborze - cudowna rzecz!!! I kto nam dziś uwierzy, że tam też ganialiśmy na nóżkach? Serio! Autobusy jeździły rzadko - poza tym - z saniami marne szanse były do nich w ogóle wsiąść ! Całe "konwoje" maszerowały rodzinami w niedzielę, tuż po obiadku, ciągnąc za sobą drewniane, dosyć długie sanie, maluchy siedziały "wierzchem", starsze dzieciaki pchały, ojcowie ciągnęli - i NIKT nie marudził, że daleko, że zimno, że twardo w pupsko, że nóżki bolą.. A nie było żadnych ocieplaczy ani kombinezonów śniegowych... Wracaliśmy wieczorkiem, mokrzy po majtasy, buciory ciężkie, przemoczone - ale gębusie szczęśliwe, wyuśmiechane, różowiotkie, śnieg był wszędzie! ... - za kołnierzem, w uszach odmrożonych prawie, w rękawicach i butach.. I spaliśmy potem, jak susły!!! Ba! nikt nie chorował!.... Zahartowana wiara taka była, że ho! ho!...

W moim bloku, na dole była kawiarenka, "Iwonka" - przez nas zwana "Hajdówką" - od nazwiska ówczesnego Proboszcza Hajdy, który grzmiał co niedzielę z ambony, że mu specjalnie, pod samym nosem, postawili knajpkę, żeby odciągała wiernych od udziału we mszy - niektórzy woleli tam przesiadywać na kawie, niż się pomodlić... I tak Proboszcz powiązany niejako z cukierenką "Hajdówka" przetrwał w pamięci Raciborzan lata całe, nawet po zdaniu funkcji w Kościele na rzecz zasłużonej renty!

W ogóle- to widzę dopiero teraz tak wyraźnie, że mieszkałam w bardzo ciekawym miejscu naszego miasta! Wokół się ciągle COŚ działo !

Nasze podwórko wygrało Konkurs na najładniejsze podwórko w województwie! I to dzięki córce sąsiadów, która odważnie zaprojektowała plac zabaw - wtedy jedyny w swoim rodzaju! (te na ulicy Słowackiego powstały dużo później i zachowały formę naszego podwórka) - z piaskownicami w kształcie baszt zamkowych, wieżyczek z zakratowanymi okienkami, szachownicą z płyt chodnika i zieloną kostką trawiastą pod rozwieszonymi sznurami na pranie, do tego zabudowany i obrośnięty bluszczem śmietnik, trochę ukryty w tej zieleni, tak, że nie straszyl od razu przy wejściu na podwórko, zmieniony trochę kształt tradycyjnego trzepaka - i zrobiło się na naszym podwórku dzięki tym zmianom przyjemniej i weselej! Każdy dbał o nie potem - i mali, i ci więksi, a dorośli pilnowali z balkonów, by nic nie zostało zdewastowane!

Za pralnią zaraz, tuż przy schodkach w dół do ulicy Drzymały - była następna górką na saneczkowanie...W dodatku - tam też były resztki murów miasta, mogliśmy się wspinać do

woli!! Aż nas przeganiano krzykiem z balkonów, bo byliśmy czasami dosyć głośni - ale któż z dorosłych mógł wtedy zrozumieć, jak ważne było pierwszemu wleźć na samą górę po obsuwających się, zmurszałych ceglach - i nie zlecieć przy tym “na łeb, na szyję”! Wołano do nas grożąc“ ...czekajcie! Ja wam pokażę !!!” A my ...- nie byliśmy wcale ciekawi “zobaczyć !!”

Dalszy ciąg tego muru biegł brzegiem Zborowej - do samej Baszty.. I tam była zmiana obiektów!! Orzełek! - prawie 4-piętrowy Herb Miasta tuż za blokiem przy ulicy Pivnej, metalowa konstrukcja, w niektórych kręgach po cichu zwana “zemstą architekta miejskiego” - wołał do nas już z daleka - “..chodź tuu!”, zachęcając już samą swoją strukturą budowy do zawodów między małolatami, kto się najwyżej powspina- i tu brat był lepszy ode mnie!... Był odważniejszy, wspinał się bardzo wysoko, a ja stałam pod tym “rusztowaniem”, prosząc, by zaraz zląził, obiecując za to nawet loda u Antosa - trzęsło mną ze strachu, a zęby szczękały tak głośno, że często nie słyszałam, jak kobieta z balkonu bloku obok nam wygrażała. Następna, co to nam “pokazywać “ chciała, a my jakoś dalej nie byliśmy ciekawi “zobaczyć”... Byłam odpowiedzialna za młodszego brata, który i tak niewiele sobie z tego robił... Tak więc truchlałam sobie, oddychając z wielką ulgą, jak stanęliśmy oboje nogami na twardej ziemi znowu! Ale jak nas tato przy obiedzie pytał, czy dzisiaj znowu się tam wspinaliśmy, bo coś mu się o uszy obilo.. - my, z oczami, jak talerzyki - szeroko otwartymi, niewinności takie chodzące, że jejku, zgodnie zaprzeczaliśmy. Nigdzie na widokówkach Raciborza - nawet na tych bardzo starych - nie znalazłam tamtego “Orzełka”, ech! szkoda, że został w końcu zdemontowany, chociaż mogę sobie wyobrazić, że my z bratem i jeszcze wielu, wielu innych - też takich “śmiazków“, jak my, przyczyniło się jawnie do tego ..

Do szkoły “13-ki” biegaliśmy dziennie koło Baszty (a wracając - łąziliśmy i po tych murach, co do niej przylegają...) - ciągle się zastanawiając, snując wizje, puszczając wodze fantazji - jak tam jest w środku, co tam było, co jest teraz, jak do niej wleźć... - marzenia ściętej głowy! Lata całe nieziszczonej, niezaspokojonej ciekawości, bo Baszta była zamknięta na cztery spusty! I wreszcie doczekałam się - w tym roku, będąc na urlopie w Raciborzu - zwiedziłam ją! Z dołu do samiutkiej góry! Słuchałam z niemym zachwytem tamtejszego przewodnika - młodego studenta, w przebraniu rycerskiego ciury, oprowadzającego nas po kondygnacjach, bo mówił z taką swadą, jakby wtedy “tu żył i był “, przejęty swą rolą, i tak ciekawie przedstawił spory kawałek historii miasta, z pewną dozą czarnego humoru i ironii średniowiecza, ówczesnych czasów - że porwał nas dosłownie w tamte lata - a grozą tortur wiało z każdego kąta, aż miło! Dobra robota - trzeba pochwalić głośno! Niechaj przetrwa w Baszcie jak najdłużej!

Pokłoniłam się przy tym i Moniuszce po pas - Mistrz pewnie mi już wybaczył ! Miałam z nim zgrzyz swego czasu. Zajęcia plastyczne naszej klasy - pamiętam - szkice... Do tego parku było najbliżej! A tam na miejscu 3 ciekawe obiekty do szkicowania - Baszta, Moniuszko i ostatecznie - Gmach Sądu.. - przy kompozytorze zbuntowałam się, nie wydawał mi się aż tak piękny! W dodatku z tą wiecznie "ozdabianą" przez gołębie łysiną... Nie mam nic przeciwko operze - a nawet umiem zaśpiewać fragment "Arii z kurantem" ze "Strasznego Dworu" (tata ją tak pięknie śpiewał...) Ale mnie korciło malować coś całkiem innego - i dziwne, klasa stanęła po mojej stronie, przegadaliśmy naszą fajową "plastyczkę" - i pognaliśmy do ..Parku Miejskiego, gdzie pod samym płotem szpitala stał stary pomnik, na zasypianym (ponoć) kiedyś żydowskim cmentarzysku, ukryty pomiędzy kasztanowcami - z dziewczyną, siedzącą bokiem, wspartą na jednej ręce, w zadumie patrzącą przed siebie, w tylko jej znaną dal, odwrócona plecami do stawu z łabędziami,- taka smutna, przy tym - i śliczna taka.. - nie wiem, czy pomnik ten stoi tam do dzisiaj - dawno nie sprawdzałam... Ileż ja ją razy szkicowałam, w pewnym czasie była prawie moją obsesją - i nie wychodziła mi... Rwałałam kolejne kartki (i prawie włosy z głowy!).. - ale nie udało mi się uchwycić tego jej wyrazistego smutku na twarzyczce - z rysunków dostawałam za nią parę razy 5-kę (wtedy!), ale ja nie byłam zadowolona z siebie, ani z namalowanego przeze mnie obrazu - czegoś mi tam wciąż brakowało ! Poddałam się w końcu. Dziewczyna jest z kamienia! Przetrwała lata całe....

Tak, tak - latka uciekły..- a ja należę jeszcze do tej generacji, co się ślizgała po stawie na butach! Bo łyżwy nie każdy miał. Karmiła łabędzie, jak były akurat na stawie w Parku i do starej "Rybacówki" chodziła na oranżadę w lecie i herbatę w zimie...

Nie ma już też piekarni Antosa z najpyszniejszymi pod słońcem bułeczkami maślanymi z makiem, i ślad zaginał po kiosku, który stał przy naszej szkole na skrzyżowaniu, po przekątnej do Sądu, i miał słodczyce na sztuki, napoje po przystępnych dla nas - uczniów - cenach ! Takie małe rybki z cukru, czy gumowe myszki za grosiki! Ależ to była frajda - na przerwie tam wyskoczyć! Do szkoły miałam przecież blisko...

Na trening za to, niestety, miałam dosyć daleko..! Wtedy chodziło się wszędzie na nogach (i nikt nie miał z tym żadnego problemu..) - autobusy, jak już wspomniałam jeździły rzadko - a ja musiałam dolecieć do Krytej Pływalni na Słowackiego, tej przy SN - bo o szkole Mistrzostwa Sportowego to nam się wcale a wcale jeszcze nie śniło! Najpierw KS "Unia" , późniejsza "11-tka" trenowałam właśnie tam - codziennie, od poniedziałku do piątku od 15.30 - 19.00. Kolejny raz przemierzałam Plac Długosza, Solną, Browarną, Fornalskiej (dziś Wileńska), na

rogu, gdzie wcześniej stała Synagoga, a raczej jej ruina, obecnie stoi w tym miejscu Szkoła Muzyczna. To było doskonałe miejsce dla wielu tajemniczych wypraw, tam szukaliśmy lochów, czekaliśmy na duchy - bo w takich miejscach muszą być! Była to budowla - mimo zniszczeń najpierw wojennych, potem antysemickich - wyniosła i architektonicznie piękna w swej dawnej świetności, i taka cisza panowała w tych ruinach, że słychać było skargę murów, a może to zawodziły czyjeś zapomniane skrzypki... Zburzono ją - a świadomość polityczna, dlaczego i po co, dotarła do nas , niestety , dużo później..

Na mój basen biegałam dalej przez działki, bo bloków na Słowackiego też jeszcze nie było - tam się kończyło nasze miasto!... dalej parę domów rodzinnych, parę gospodarstw, w dali światła domów z ulicy Mariańskiej - i pustka, pola aż po Ocice - jesienią i zimą odprowadzali nas po treningu nasi koledzy z Klubu - bałyśmy się tam same tak łązić wieczorem, treningi kończyły się o 20-tej.., a my to wówczas 12-to,13-to ,14-to i 15-tołaty, oni z kolei - dobrze wychowani, starsi - i po prostu sympatycznie koleżeńscy - szli a nami całą Słowackiego, oświetloną do połowy tylko - aż do Kamienia (polodowcowego!) na Placu Wolności przy milicji (nie całkiem pasowała nazwa tego Placu do aresztu, który się tam właśnie znajdował! Może jeszcze i dzisiaj służy miastu), a dalej już jakoś szło, odwaga, która po wyjściu z basenu na ciemną, opuszczoną ulicę spływała nam “w pięty“- teraz wracała szybko na swoje miejsce! Kiedy zbliżały się zawody regionalne, albo na szczeblu województwa, czy nawet ogólnopolskie mistrzostwa - dokładano nam przez tydzień tzw. suchy trening, czyli poza basenem, tak ok. 1,5 godziny np. biegi przełajowe (albo hala, zależało od pogody...) - i wtedy biegliśmy sobie na Wieżę Ciśnień. I w górę po schodach obunóż w przysiadach rozkroczych!- jak później, po latach oglądałam w kinie “Rocky” z Stallone - myślałam sobie, że on to się miał dużo lepiej, niż my, i łatwiej mu było z tymi paroma schodkami i skakanką, niż nam z tym skakaniem obunóż! Starsi koledzy nas tam poganiali ze śmiechem, i często tłumaczyli, że jak chcemy coś naprawdę osiągnąć w sporcie - to musimy dobrze i konsekwentnie popracować nad sobą, nie kantować ani trenera, ani samego siebie...Bez pracy i wysiłku nie ma nic...Dotarło do nas - mam do dziś (w szufladzie!) parę medali i dyplomów, a tamte rady znajdują i dziś, w dorosłym życiu swój stosowny moment ... Teraz - ma Racibórz (wtedy pierwszą otwartą w Polsce !) Szkołę Mistrzostwa Sportowego - nic, tylko młodym wyczynowcom pogratulować i życzyć samych sukcesów!!

Ze szkoły mieliśmy również blisko na wiadukt kolejowy, którym przechodzili pracownicy cukrowni. To był kolejny fajny plac zabaw - taki bardziej pobudzający fantazję “sztuki

teatralnej“. Czekano się na wiadukcie na nadjeżdżający pociąg, koniecznie z parowozem, i w obłokach pary tworzyło na poczekaniu, z przejściem improwizowało scenariusz horroru, gdzie naturalnie jakieś stwory, zombie, czy mumie wychodziły z opuszczonych grobowców - ta para utrzymywała się jakiś czas... Było sporo pisku, strachu, śmiechu w końcu, para zniknęła - i czekało się na następny pociąg!!! Takie dzieciaki - “kluczykowe”, jak my (z kluczem na szyi, czyli - w przenośni - z rodzicami w pracy!) miały do 15-tej z reguły czas! Były bardzo kreatywne, ruchliwe i nigdy się nie nudziły! Jeżeli nie musiały zostawać na świetlicy w szkole... i zjadać szpinaku na obiad...

Z parapetów okiennych w mieszkaniach Raciborzan ścierało się kilka razy dziennie czarne sadze ZEW-u i RAFAKO- klnąc pod nosem siarczyście. Do dziś posiadam parę pucharków węglowych, małe wazoniki, talerzyki, które swego czasu wykonywali więźniowie z odpadów węgla - pięknymi wzorami o różnych motywach rzeźbione, artystycznie ozdabiane... Były “w modzie i na chodzie”, by kogoś zasłużonego nimi obdarować. Pierwszy taki puchar od Miasta Raciborza otrzymał ówczesny wódz narodu - Edward Gierek... Dobrą mam jeszcze pamięć chyba....

W swej wędrówce zatrzymam się krótko przy restauracji “Wiedeńskiej”, nazwanej na cześć przejeżdżającego przez Racibórz ze swą świtą naszego Króla Jana Sobieskiego na Wiedeń, by pogonić Tatarzyna, “gdzie pieprz rośnie” - nasz Herb Miasta - pół orła i pół koła (tego od królewskiej karocy, które pękło na pół właśnie u nas na rynku !) zawdzięczamy też jemu! - i pamiętam “złote czasy” restauracji, z dancinżem, dobrą kuchnią i super prezencją na zewnątrz! Tam być gościem - było się kimś... Ściągała wtedy gości nawet z Katowic !

A Król zatrzymał się na naszym Zamku, który w tej chwili jest oryginalną, piękną, prawdziwą perłą Raciborza! Doczekaliśmy się! Tato mój ucieszyłby się bardzo, gdyby tego momentu dożył! To On pokazał mi każdy zakątek naszego miasta, to Jego oczami je widziałam - i widzę nadal ! - to On nauczył mnie to miasto tak kochać, że tak chętnie tu po latach wracam... A odnowiony Zamek - był Jego Wielkim Marzeniem!!! W wejściu do Zamku, po lewej stronie na ścianie jest murowana półka - i na niej - straszyl nas tata - ponoć leżała długo ścięta głowa Tatarzyna - wrogom miasta i nawet państwa - ku przestrożce !

Wspominam z rozrzewnieniem obchody “Dni Raciborza” - studentów SN- u, przebranych w rycerzy, barwną świtę Króla, strojne dworki, wesoły korowód przez miasto - by na końcu dotrzeć do Placu Długosza i na tamtejszej scenie, przed Basztą - scena ta stoi do dziś- odegrać

scenkę rozmowy Króla Jana Sobieskiego z tatarskim chanem... Historyczne widowisko pozostało w pamięci! Los chciał, że w tym roku, będąc w sanatorium zwiedzałam w pewnym małym niemieckim mieście tamtejszy zamek, gdzie była dosyć znaczna wystawa (przez całe 3-4 sale, czyli komnaty) tatarskich najeźdźców, łącznie z ich strojami, namiotami, jurtami, bronią, itd. Na całej ścianie w tych komnatkach dosyć dużymi, zdobnymi literami opisano historię najazdu tatarów w Europie, podkreślając bardzo rolę bohaterskich książąt niemieckich (z pełnymi nazwami rodów i "pociotków" pokrewnych), którzy to ...spod Wiednia przegonili Tatarzyna na wieki... A jeden z ówczesnych królów polskich (wzmianka o, tak mimochodem, bez żadnego nazwiska i imienia !!!).. dołączył do nich (i co ??? i trochę im pomógł?). Pani przewodnik dużo mówiła, i z przejęciem - ale ...może to nie było tak bardzo taktowne z mojej strony - tyle, że "dziabnęło mnie z lekka", powiedziałam głośno (przerwałam ten wywód, przepraszając) i wyraźnie imię naszego Króla, odwróciłam historię, kto tam komu pomagał, zacytowałam znaną mi od dziecka scenkę z chanem tatarskim, pani w końcu splonęła rączkiem, zadała mi parę uzupełniających pytań, ale znałam odpowiedzi, w dodatku wśród zwiedzających znalazł się Polak, potwierdzający moje wywody (i "uroślam" od razu !)... Po zwiedzeniu tegoż zamku pani poprosiła mnie grzecznie, bym napisała jej na karteczce, jak się ten polski król nazywa.... I nawet parę razy przeprosiła, że jakoś dotychczas nie doczytała nigdzie (???), nie interesowała się wprawdzie, no,...nie wiedziała...To teraz ma te braki uzupełnione!

Ruiny Zamku mam zbiegane całymimi latami wzdłuż i wszerz! Każde wejście do lochów korciło, a fantazja dziecięca malowała obrazy o wielkości skarbu, jeżeli go znajdziemy... I wejścia do lochu - przejścia pod rzeką aż do Klasztoru po drugiej stronie - szukaliśmy wytrwale... Czasem przeganiali nas kajakarze - z Klubu Kajakarskiego, który tam nad Odrą, tuż pod Zamkiem miał i przystań, i siedzibę swoją. I chyba dobrze, że nas przeganiali - kto wie, co byśmy jeszcze tam "wymodzili..."

Kasztany, zbierane pracowicie wokół Stadionu przerabialiśmy na tony ludzików, zwierzaków, i to była dla nas przednia zabawa, której nie zamieniłabym dzisiaj na żadną grę komputerową. Czasem wędrowaliśmy z tatą dalej, daleko i wracaliśmy przez Łęczczok z powrotem, słuchając o dziwach przyrody, odgadując nazwy rosnących tam drzew, obserwując ptaki - i nikt nie liczył przedeptanych kilometrów !

A Stadion Miejski ? No, cóż.. - budowaliśmy go i my z tatą ... - a raczej z Jego zakładem pracy w czynie społecznym! W soboty przy dobrej pogodzie zgłaszały się po pracy całe brygady ludzi, co społecznie dla swego miasta coś chcieli zrobić - i zrobili... Miałam wtedy 7-8 lat, brat

trochę młodszy - we dwójkę dźwigaliśmy betonowe krawężniki do układania poziomów na widowni Stadionu - ale cieszyło wszystkich i tempo pracy, i efektywne osiągnięcie - wtedy "Unia - Racibórz" grała w I Lidze Krajowej - no, i mieliśmy u nas na bramce Kostkę !!! Później nieraz, jak byłam na Stadionie - ciągle odbywały się jakieś imprezy - takie wewnętrzne uczucie lekkiej dumy towarzyszyło mi zawsze. Pamiętam do dziś, który sektor "stawialiśmy". Po powodzi w 1997 podjechałam na Stadion Miejski i ...popłakałam się... Zniszczenia były tak ogromne!!! Ale widzę, że udało się go jakoś uratować choć w części i zabudować na nowo... Teraz potrzebny nam tylko nowy Kostka i wejście do I Ligi!!!

Zabudowania murów więzienia...Też mnie fascynowały zawsze... Postawiono je "za Wilusia" jeszcze! A przetrwały taki szmat czasu!!! I to w jakim stanie!.. Okazała budowla, prawie w kształcie zamkniętego dziedzińca pałacowego, spełnia swą rolę do dziś. Christof z Raciborza - raciborski kawalarz - broił coś drobnego jesienią, żeby przesiedzieć w "ciupie" mróz i chłodne dni zimy - tam był w ciepłych murach, miał strawę - był zadomowiony na dobre! Wychodził na wiosnę. Nasłuchaliśmy się kawałów o nim, co niemiara! Za murami więzienia też bywałam - z racji pracy rodzica... Dostawałam ciarek na plecach, jak z hukiem i trzaskiem zamykała się ta żelazna brama za moimi plecami!!! i ten szczepek kluczy wartowników, strażników... Mieliśmy swego czasu najcięższe więzienie w Polsce - biorąc pod uwagę wyroki "multirecydywy", czyli więźniów po 3-4 wyroku, już naprawdę poważnych, niebezpiecznych kryminalistów - i jedyne, z którego nikt jeszcze nigdy nie uciekł!!! Próby były - ale na nich się kończyło! Mówiłam czasami - tak, dla "zmyły", że ".. w dzieciństwie to często miałam do czynienia z różnymi kryminalistami"... Dziwnie patrzyły na mnie potem mamusie koleżanek - te, które chciałam podenerwować! W szkole wychodziły mi "dowcipy" przy nowych praktykantkach - nauczycielkach, gdy trzeba było podać parę danych o sobie...."Gdzie pracuje mamusia?" pytały. " Jest księgową ..tam i tam " , " A tatuś ?" padało kolejne pytanie, " ..a tatuś w więzieniu!"...odpowiadałam ze smutną minką..."oj, biedne ty dziecko, oj biedne ..." udawało mi się nabrać je nieraz! "Pracuje!!!!" wołałam rozbawiona po chwili.. I śmiały się z nieskrywaną ulgą, wcześniej wyrzucając sobie pewnie popełniony, i to tak głośno - przed całą klasą nietakt!

Taki "Christof", ale już z naszych czasów - nazywał się Otto, latał po ulicy między dworcem, a Rynkiem, a w czwartki i soboty - po targowisku, klepał kobiety - różnego wieku! - w pupę, wołając przy tym z wielką uciechą "Usia-Usia!", chociaż nieraz oberwał klapsa od obrażonych pań!

Ostatnim miejscem moich migawek po Raciborzu będzie. Obora. Raz jeszcze... Bo tam, gdzie teraz te pawilony handlowe "straszą" - ja pływałam na kajakach.. - to były nasze letnie stawy - do kąpielni na "dziko", pięknie zarośnięte szuwarami i trzciną przy brzegach... Kajaki, łódki i rowery wodne - były tamtejszymi atrakcjami... Taki ładny obrazek, mieniący się w słońcu, przeludniony mocno latem - z lasami Obory w tle... Pamiętam ten "smutek w narodzie", jak je zasypywano... Przez parę lat udało się jeszcze komuś usytuować tam mały ośrodek kempingowy, z domkami letniskowymi do wynajęcia w sezonie - i funkcjonował nawet jakiś czas..

A między tymi stawami i lasem naszego rezerwatu przyrody niosło się romantycznie parę razy na dzień echo gwizdka naszej... ciuchci wąskotorowej, "Kongiem" albo "Texasem" zwanej, kursującej na trasie Olza - Markowice (w obie strony), zmora dla dojeżdżających do pracy, bo wlokła się niemożliwie - a uciecha niebywała dla takich "poszukiwaczy przygód", jak my!! Nie udało mi się nigdy zdobyć jej zdjęcia...

Wagony w środku z drewnianymi, twardymi ławkami, małe przedziały, tylko na 2 ławki - 1 po lewej i 1 po prawej stronie, małe drzwiczki do wsiadania i wysiadania, schodki, jak do karocy, a jak się chciało iść do sąsiedniego przedziału - trzeba było wysiąść na stacji kolejnej. Konduktor przechodził po takim specjalnym szerokim i długim stopniu, umocowanym wzdłuż całego wagonu - po obu jego stronach - trochę karkołomna wyprawa w zimie, stopień był śliski! W wagonach pachniało drzewem... Człowiek się czuł tak, jakby się przeniósł w świat kina, filmu - westernu! Uwaga!!! Zaraz nadjadą Indianie na swoich pięknych, rącznych koniach!!.. Pytałam wszystkich moich znajomych, co to jeździli tym cudem dziennie do pracy i do szkół, po rodzinie też, czy ktoś ma chociaż jedno zdjęcie - niestety...

I to byłby ostatni może obrazek z mojego ukochanego Miasta, jaki mam trwale wryty w pamięci. Ostatni, o którym tu wspominam - a tak naprawdę to jest ich cała masa...

Jak wyjeżdżam z Raciborza, w stronę Opola - pod górkę, nie oglądam się za siebie aż do pierwszych lasów. Łzy płyną sobie cichutko, gniecie w piersi ta rozłąka za każdym razem tak samo mocno i tak samo długo... - a ja sobie nucę pod nosem

" Wzwyż urośnie miasto nasze,
kominami sięgnie gwiazd,
i zostanie w nim na zawsze
refren, który wiecznie trwa !"